

Chopin z Otłoczyna

Co może łączyć Agnieszkę z pierścieniami Saturna? Odpowiedź jest prosta: kosmiczna muzyka stworzona pod natchnieniem romantycznych uniesień i pod wpływem obserwacji natury. Owe dwa zjawiska wymienione na początku to tytuły utworów autorstwa **Mateusza Ryczka**, znanego dziś w Polsce kompozytora, laureata oraz uczestnika wielu prestiżowych konkursów i festiwali muzyki poważnej.

Jak się zaczęła jego przygoda z muzyką? Oddajmy głos samemu Mateuszowi: *Zawsze miałem potrzebę tworzenia jakichś abstrakcyjnych konstrukcji i wyrażania siebie. Jako dziecko budowałem z klocków lego, malowałem. Jednak to nie było to. W pewnym momencie swego życia (w czwartej klasie) natknąłem się na zdezelowane pianino, które jest własnością mojej mamy. Stało w jednej z klas szkoły podstawowej w Otłoczynie, gdzie nauczwała. Dlatego ten instrument nie towarzyszył mi od wczesnego dzieciństwa. Jednakże, jak sobie przypominam, zawsze fascynował mnie świat dźwięków. Potrafiłem przez długi czas uderzać kamieniami w metalowe rury i nasłuchiwać. Po prostu BUM, a później ten cały kosmos dźwiękowej struktury.*

Jeszcze w szkole podstawowej Mateusz zapragnął rozpocząć naukę gry na pianinie, więc rodzice wysłali go do toruńskiej Szkoły Muzycznej I stopnia im. Karola Szymanowskiego, którą ukończył już po roku edukacji. Chodziło o to, by II stopień rozpoczął wraz z nauką w ciechocińskim gimnazjum, i ten sześciolatek etap zakończył wraz z otrzymaniem świadectwa maturalnego w 2005 roku.

Jak Mateusz wspomina lata spędzone w gimnazjalnej ławie? Znowu oddajmy mu głos: *W czasie gimnazjum był taki koncert, już nie pamiętam z jakiej okazji. W każdym bądź razie na tym koncercie wystąpiłem z utworem, który napisałem na złość swojej koleżance. Był to taki dowcip. Polegał na tym, że utwór zaczynał się ciężkim marszem, wręcz militarnym, który symbolizował nasz antagonizm. W dalszym toku utwór się coraz bardziej rozpędzał, tak jak rozpędza się kłótnia. Przekomarzanie, złośliwość - wszystko to było w tej szczeniackiej muzyce. Co dziwnego, Agnieszka, z którą do tej pory się bardzo lubimy (choć, niestety, kontakt mamy niewielki), wcale się nie obraziła, a nawet jej się ten utwór spodobał. Koleżanki i koledzy często mnie namawiali, bym przed zajęciami muzyki (z panem Maleckim) zagrał im go na stojącym w klasie pianinie. Pamiętam jeszcze wiele miłych sytuacji związanych ze szkołą, np. to, jak na lekcji fizyki pani pozwoliła mi tłumaczyć fizyczną naturę dźwięku i pokazać klasie doświadczenia alikwotowe na pianinie. W ogóle bardzo miłe wspomina nauczycieli, którzy bardzo przychylnie odnosili się do tego, że uczę się w dwóch szkołach, że muszę szybko wybiegać, by wrócić do domu w Otłoczynie rowerem i łapać autobus do Torunia.*

Często wykonywałem „Agnieszkę” na koncertach w ciechocińskich sanatoriach (głównie koncertowałem w Sanatorium pod Tężniami). Grywałem na nich z koleżanką skrzypaczką lub kuzynem flecistą. „Agnieszka” była zawsze moim popisowym numerem gdzieś pośrodku koncertu, gdy moja druga połowa duetu po prostu odpoczywała. Uroczę panie wczasujące w sanatorium często mówiły mi po koncercie, że słyszą w tym utworze kłótnie, przedrzeźnianie się i że mają nadzieję, że historia z Agnieszką się dobrze skończyła. Na szczęście mogłem je zawsze zapewnić, że dobrze.

Na koncertach w sanatoriach grywaliśmy więcej moich kompozycji, niektóre na fortepian solo, niektóre na duet (np. „Preludium trzecie”, które z kolei stało się ślubnym, ponieważ ograliśmy mnóstwo ślubów czy to w Otłoczynie, czy w Aleksandrowie, Toruniu oraz w różnych miejscowościach Kujaw), a także moich autorskich opracowań kolęd na koncertach świątecznych czy fragmentów musicali takich jak „Skrzypek na dachu”.

Koncerty w Ciechocinku były satysfakcjonujące przede wszystkim dlatego, że miałem kontakt z publicznością, widziałem reakcje ludzi na muzykę czy to moją, czy też mistrzów muzyki. Niektórzy się wzruszali, niektórzy uśmiechali. Ciechocińska publiczność sanatoryjna była wspaniała. Ludzie potrafili podchodzić do nas po koncercie i mówić, że są bardzo usatysfakcjonowani.

Pomimo tego, że muzyka stanowiła największą pasję Mateusza, nie poświęcał jej każdej wolnej chwili: Grałem bardzo dużo w piłkę, to nie kolidowało z moimi zajęciami, wspomina kompozytor. Wręcz za mało ćwiczyłem i nigdy tego nie żałowałem. Nie żałowałem także tego, że zamiast grać jakieś nudne ćwiczenia, po raz miliardowy wykonywać Bacha, gdzie już mamy setki genialnych wykonania, ja sobie improwizuję i zajmuję się jakimiś rzeczami, które mnie interesują. Byłem zdziwiony, że pani na lekcjach fortepianu się denerwuje, że nie umiem perfekcyjnie zagrać skomplikowanej fugi, a za to wolę improwizować bądź pójść z kolegami pograć w nogę. Teraz widzę tego pozytywne efekty. Mam szersze horyzonty niż gdybym grał po osiem godzin i był teraz świetnym wykonawcą.

Niemniej jednak Szkołę Muzyczną im. Karola Szymanowskiego II stopnia w klasie fortepianu Mateusz Ryczek ukończył z wyróżnieniem. Już w liceum odnosił